

ISSN 2084 - 0810

MŁODZI EKUMENIZM BÓG

nr 34 luty 2014

PROSTO Z MOSTU

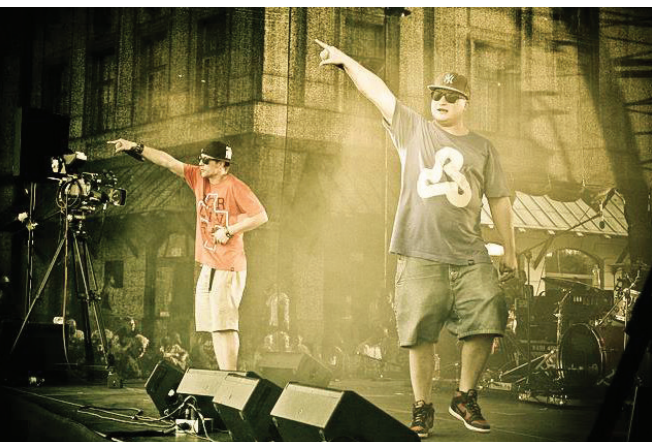




14



29



34

Spis treści

4

LEPSZE DZIECI BOGA

7

SPOJRZEĆ NA NOWO

9

KS. ROGERIO: BRAŁEM NARKOTYKI
I MIAŁEM DOBRYCH NAUCZYCIELI,
KTÓRZY NAUCZYLI MNIE NIE WIERZYĆ
W BOGA

13

MATUSZKA, CZYLI PRAWOSŁAWNA ŻONA

14

ŚWIADECTWO - BYĆ ŻONĄ KAPŁANA

17

PIĘKNY TRUD I WAŻKIE PIĘKNO

22

JESTEM ŻONĄ KSIĘDZA

25

DOMINIKANIE- ZAKON KAZNODZIEJÓW

27

GORZKA WÓDKA - NIE CHCIELI JEJ SŁODZIĆ

29

FUNDAMENT ŻYCIA
CZ1. - CEL CZŁOWIEKA

34

RYMCKERZE JAK Z BAJKI

Warto jest zaufać Bogu i warto jest być uczciwym, w tym co się robi - powiedział Marcin z wspólnoty Przymierze Miłosierdzia, którego spotkałem na obozie narciarskim Duszpasterstwa Akademickiego szczecińskich chrystusowców w Szczyrku. Jako przykład podał swoje zaliczenie przedmiotu na informatyce. Marcin uznał, że nie warto ściągać i kopiować programów innych osób, kiedy samemu nie jest się przygotowanym do zaliczenia. Pan Bóg podpowiadał mu po modlitwie, jak uczciwie zdać przedmiot. Odpowiedź zawsze przychodziła przed zaliczeniem i Marcin jest przekonany, że to była Boska podpowieść. Warto prosić Boga i ufać, że pomoże w każdej sytuacji. Prosty przykład, ale pokazuje ważną prawdę. Głosu, który słyszymy na modlitwie lub po spotkaniu z Bogiem nie warto lekceważyć. W tym numerze piękna historia brazylijskiego kapłana, który nie stronił od narkotyków w młodości, potem usłyszał na modlitwie głos, a dziś posługuje właśnie w Przymierzu Miłosierdzia. Oddajemy też jeszcze bardziej niż zwykle głos kobietom. Tym, które są żonami księży w niektórych Kościołach chrześcijańskich i tym, które realizują swoje zakonne powołanie żyjąc w ślubach czystości. Zapraszamy.

Piotr Kołodziejcki i Marcin

Ideą gazety jest dialog międzywyznaniowy w ramach chrześcijaństwa, a ewentualne ofiary zebrane z gazety w całości (po opłaceniu druku gazety) przeznaczamy na cele charytatywne.

Redakcja

Jarosław Kaczmarczyk, Paulina Bielecka,
Adriana, Katarzyna Szylak, o. Maciej Biskup OP,
ks. Marcin Sęk, Ewelina Dmitrowicz,
Ewa Smutek, Magdalena Żukowska,
Iwona Marciszak, Anna Malec

Zastępca redaktora naczelnego

Małgorzata Moraczewska

Redaktor naczelny

Piotr Kołodziejcki

Adres redakcji i wydawnictwa

ul. Królowej Korony Polskiej 28e
70-485 Szczecin

Kontakt z redakcją

ekumeniczni@wp.pl

konto na facebooku:

<http://www.facebook.com/ekumeniczni>

Archiwalne numery do zobaczenia na: radioszczecin.pl/religia

Proszę zeskanować kod QR

Skład

Robert Żak
robert.zak@wp.pl

Fotoedytor

Łukasz Szelemej
www.szelemej.pl

**Konsultacja teologiczna
parafii rzymskokatolickich:**

ks. Lucjan Chronchol

prawosławnej:

ks. Paweł Stefanowski

ewangelicko-augsburskiej:

ks. Sławomir Sikora

Wydawca

Fundacja „Szczecińska”

www.szczecinska.eu



LEPSZE DZIECI BOGA

Tekst

Ks. Mariusz Sokołowski SChr

chrystusowiec

Bochum - Niemcy

„Wierzę w Jednego Boga...” – słowa Credo szczególnie analizowaliśmy w zakończonym Roku Wiary. I gdybym dziś zapytał: „czy wierzysz w Boga?”, powiesz: „tak!”. W jakiego? „Osobowego, obecnego w trzech osobach” Super! Tak ci odpowiem, ale w Boga wierzą też Muzułmanie, Żydzi... Z tymi pierwszymi jak nigdy dotąd mogę i spotykam się codziennie. I choć nasze spotkania nie koncentrują się na sprawach religii ojców i nie są wydarzeniem na miarę dialogu międzywyznaniowego, to są okazją, by o przynależności do swojej religii zaświadczyć.

My chrześcijanie mamy nierzadko poczucie wyższości, a co za tym idzie – czujemy jakiś nie tylko lęk, ale niechęć do wyznawców innych religii monoteistycznych, traktując ich jako dalszą kategorię w kolejce do nieba. Może wynika to z tego, że – jak podają statystyki – w Polsce wciąż około 90 procent ludzi to ochrzczeni? Doskonale oczywiście byłoby, gdyby za cyframi szło także życie i codzienna praktyka religijna, rozumiana nie tylko jako jakiś obrzęd czy rytuał religijny, ale jako spotkanie z Bogiem, Osobą, Przyjacielem. Mimo że liczba wierzących, albo raczej jak sami o sobie mówią „wierzących, ale niepraktykujących” w Polsce spada, to i tak ci „legitymujący się” jako katolicy lub w ogóle chrześcijanie uchodzą chęć za lepsze dzieci Boga. Czy to słuszne? Czasami sam – nawet jako kapłan – zastanawiam się, czy gdybym urodził się w Turcji, Iranie jak moi koledzy i koleżanki z kursu językowego, nie stałbym się gorliwym wyznawcą Allaha i czy nie rozczytywałbym się z namiętnością w Koranie? Nie wiem, ale śmiem twierdzić, że tak. Muzułmanie, muslimi, wyznawcy Allaha, Mahometa... jest ich bardzo wiele, także i wyjątkowo sporo tutaj, w Niemczech. Gdy w tym kraju z krajobrazu giną kościoły katolickie, co rusz niemal dostrzec można nowo budujący się meczet. Mnie to zachwyca i jednocześnie denerwuje, że my tak nie potrafimy, nie walczymy o swoje, a winę za burzenie kościołów zrzucamy na innych, na prawo niemieckie itp... Jestem pełen podziwu dla ich konsekwentności. Też bowiem żyją na obcej ziemi, też oddychają innym powietrzem, też uczą się języka, jedzą niemiecki chleb (hmm... czy moi koledzy żywią się chlebem, czy kebabami? Nie wiem... Muszę zapytać), a o wiarę dbają i ją pielęgnują. Tak czy inaczej to moi bliźni.



Christmas Party. Szkoła językowa VHS. Fot. Archiwum prywatne.

Bł. Jan Paweł II w książce „Przekroczyć próg nadziei” tak pisał: **„W deklaracji soborowej «Nostra aetate» czytamy: «Kościół spogląda z szacunkiem również na mahometan, oddających cześć jednemu Bogu, żywemu isamoistnemu, miłosiernemu i wszechmocnemu, Stwórcynieba i ziemi» (n.3). Przez swój monoteizm wyznawcy Allaha pozostają nam szczególnie bliscy. [...] Z całym szacunkiem trzeba się odnieść do religijności muzułmanów, nie można nie podziwiać na przykład ich wierności modlitwie. Obraz wyznawcy Allaha, który bez względu na czas i miejsce pada na kolana i pogrąża się w modlitwie, pozostaje wzorem dla wyznawców prawdziwego Boga, zwłaszcza dla tych chrześcijan, którzy mało się modlą lub nie modlą się wcale, opuszczając swe wspaniałe katedry.”**

Na kurs języka niemieckiego w Volkshochschule (VHS) przychodzi 20 osób z 11 krajów i 11 narodowości. ¼ to Polacy (czyt. chrześcijanie, katolicy); ¼ to wyznawcy Islamu, osoby z Turcji, Iraku, Iranu i Syrii. Pozostali to pojedyncze osoby z: Kolumbii, USA, Bułgarii, Indii, Portugalii, Grecji. Temat kultury danych krajów, rozwoju gospodarczego, walorów turystycznych itp. jest niemal codziennością, ale nigdy na zajęciach nie jest podejmowany temat wiary, Boga, religii. Temu jednak służą 20-minutowe przerwy. Zdarzyło mi się na przykład, że raz kolega z Iranu podszedł i po angielsku pytał (wiedząc, że jestem księdzem) o anioły: kim są? co robiły tuż po ich stworzeniu? Innym razem ktoś inny z grupy irańskiej przekazał mi Biblię po arabsku, mówiąc,

że gdzieś w bibliotece swojej znalazł i może jakimś moim znajomym przydadzą się. Byłem zdumiony. Mógłby przecież wyrzucić, spalić, a jednak tego nie zrobił... Jest w tych, którzy wyznają Allaha i kochają Mahometa, a których znam, wiele dobra. Jak więc mógłbym czuć się lepszy? (Owszem niewątpliwie niebezpieczni są radykalni muzułmanie, których określamy jako fanatyków, ale takich póki co nie spotkałem). Oni też są dziećmi Boga. Także wierzą w jednego Boga, którego inaczej nazywają. Dobrze wiemy, że Jezusa uważają za proroka, a Maryję za matkę tegoż proroka. Coś nas łączy, choć nie ma wątpliwości, że wciąż jeszcze o wiele więcej nas dzieli.

Przypomina mi się anegdota, która chyba najtrafniej zobrazuje, kto jest lepszym dzieckiem Boga – chrześcijanin czy muzułmanin?

Pewien turysta podczas wędrowki spotkał na hali w górach bacę, który pasł owce. Po przywitaniu zapytał:

- Baco, ile macie owiec?

- Białych cy czarnych? – zapytał pasterz.

- No... białych.

- 20 stuk.

- A czarnych?

- Tes 20.

- A baco, ile one kilometrów dziennie przewędrują?

- Białe cy carne? – powtórzył pytanie baco.

- No... białe.

- Ze 5 kilometrów.

- A czarne?

- Tes 5.

- A baco, ile trawy zjedzą na dzień? – zapytał zaciekawiony turysta.

- Białe cy carne? – zapytał po raz kolejny baco.

- No... białe.

- A z 5 kilogramów.

- A czarne?

- Tes 5.

- Baco – zapytał zadziwiony turysta - a czemu wyście tak podzielili te owce, skoro wszystko tak samo robią?

- No bo widzicie – rzekł baco – te białe to są moje!

- A te czarne? – zapytał turysta.

- Carne? Carne tes są moje!

I tak jest z Bogiem. On jest takim bacą, dla którego każdy jest ważny, potrzebny i nikt w Jego oczach nie jest lepszy czy gorszy. Nie ma lepszych czy gorszych dzieci Boga. Są tylko posłuszne i nieposłuszne. Ale i te, i tamte szalenie kocha. Dlaczego? Bo jest Miłością.

SPOJRZEĆ NA NOWO

Tekst

o. Maciej Biskup OP

przeor klasztoru dominikanów w Szczecinie

Pojednanie, które przychodzi od Boga, prowadzi nas przez wąską bramę skruchy. W 50. rocznicę pojednawczego spotkania papieża Pawła VI i patriarchy Konstantynopola Atenagorasa 5 i 6 stycznia 1964 roku w Jerozolimie.

„A przechodząc, ujrzał [Jezus] Lewiego, syna Alfeusza, siedzącego w komorze celnej, i rzekł do niego: Pójdź za Mną! On wstał i poszedł za Nim” (Łk 5,27). Nie delectowalibyśmy się Mateuszowym zapisem Ewangelii, gdyby nie to jedno spojrzenie. Inne od tych, które znał dotychczas Lewi. Wzrok otoczenia nie krzyżował się nigdy ze spojrzeniem celnika przyjaźnie, dobrotliwie. Mateusz celnik, gdy pobierał znienawidzone podatki, musiał poznać także „piekielną” cenę ludzkiego wzroku, które odpłacało się potępiając.

I nagle pojawia się Ktoś, kto spojrzał inaczej, jakby na świadectwo wszystkich uczestników zdarzenia, że „nie tak bowiem człowiek widzi »jak widzi Bóg«, bo człowiek patrzy na to, co widoczne dla oczu, Pan natomiast patrzy na serce” (Sm 16,7).

Spojrzenia dalekie od naiwności, w której można nie widzieć grzechu i zranień, ale jeszcze dalsze od małoduszności, w której człowiek nie chce z nadzieją wybiegać w przyszłość, by dostrzec szansę na uzdrowienie.

Jedno spojrzenie spowodowało, że życiowo przezorny celnik poszedł w nieznaną, bo przecież „lisy mają nory i ptaki powietrzne – gniazda, lecz Syn Człowieczy nie ma miejsca, gdzie by głowę mógł oprzeć” (Łk 9,58). Okazują się, że jednak nie do końca w nieznaną. Celnik Lewi dobrze poznał siłę spojrzenia, w którym można się zadomowić już na zawsze, nie mogąc z siebie już wyrzucić pragnienia, by patrzeć „na Jezusa, który nam w wierze przewodzi i ją wydoskonala” (Hbr 12,2).

Nie jest dla mnie przypadkiem, że w pierwszy dzień tegorocznego Tygodnia Modlitw o Jedność Chrześcijan czytany na Liturgii był ten fragment Ewangelii o powołaniu celnika Lewiego. Chrystus pragnie dla swoich wyznawców jedności, bo ona rani samych chrześcijan a świat „więzi” w niewierze w Jezusa (por. J 17,21). Wcześniej jednak Jezus żąda od nas zmiany patrzenia na siebie. Są na szczęście w Kościele świadkowie innego spojrzenia. Nauczyli się go w szkole Ewangelii. Mam na myśli papieża Pawła VI i patriarchę Konstantynopola Atenagorasa. Udając się, dokładnie pięćdziesiąt lat temu,

jako pielgrzymi do Ziemi Świętej, znaleźli się w pobliżu przychodzącego nad Jordan „Baranka, który gładzi grzech świata” – w tym także grzechy ochrzczonych, z powodów których świat pyta chrześcijan słowami św. Pawła „Czyż Chrystus jest podzielony?”.

Jako pielgrzymi, dzięki pokorze i skrusze, ujrzeni Ducha Jezusa (por. J 1,32) i jednomyślnie w „Duchu i prawdzie” (J 4,23) zobaczyli podzielony Kościół. Jan Chrzciciel w Ewangelii mówi o Jezusie: „Ja Go przedtem nie znałem” (J 1,31), chociaż przecież dobrze znał i nieraz spotykał swego kuzyna. Teraz musiał Go zobaczyć nie według ciała i krwi, ale według Ducha, o czym przypomina nam św. Paweł: „Jak znaliście Jezusa według ciała, teraz trzeba, żebyście poznali Go według Ducha (2 Kor 5,16). Tak według Ducha Jezusa, papież i patriarcha spojrzeli na podzielony Kościół i w skrusze przed Panem zawołali o zmiłowanie Pana.

Pokora i skrucha to nieodzowne atrybuty pielgrzymującej wiary, o której pisze papież Franciszek w adhortacji „Evangelii Gaudium”: „Wiarygodność orędzia chrześcijańskiego byłaby o wiele większa, gdyby chrześcijanie przewyżczyli swoje podziały i Kościół urzeczywistniał «właściwą sobie pełną powszechność w tych dzieciach, które przez chrzest należą wprawdzie do niego, ale odłączyły się od pełnej z nim wspólnoty (communio)» . Powinniśmy zawsze pamiętać, że jesteśmy pielgrzymami i że pielgrzymujemy razem. W tym celu należy powierzyć serce towarzyszowi drogi bez nieufności, bez uprzedzeń i spoglądać tylko na to, czego szukamy: pokoju na obliczu jedyne Boga” (p. 244).

Zachęcam do zapoznania się lub przypomnienia sobie treści Wspólnej Deklaracji papieża Pawła VI i Atenagorasa Patriarchy Konstantynopola, którą na ostatniej sesji publicznej Soboru Powszechnego odczytał kardynał Jan Willebrands. Oto jej fragment:

„Papież Paweł VI i Patriarcha Atenagoras I są świadomi, że gest sprawiedliwości i wzajemnego wybaczenia nie wystarcza dla zakończenia zatargów dawnych i świeższych, zaistniałych między Kościołem Rzymskokatolickim i Kościołem Prawosławnym. Kres im położyć może działanie Ducha Świętego dzięki oczyszczeniu serc, ubolewaniu nad błędami historii, woli skutecznie skierowanej ku wzajemnemu porozumieniu i wspólnemu wyrażeniu wiary apostołskiej wraz z jej wymogami”.

KS. ROGERIO: BRAŁEM NARKOTYKI I MIAŁEM DOBRYCH NAUCZYCIELI, KTÓRZY NAUCZYLI MNIE NIE WIERZYĆ W BOGA

Rozmawiał
Piotr Kołodziej
parafia rzymskokatolicka
pw. Matki Boskiej Jasnogórskiej

Brał narkotyki, nie wierzył w Boga. Dziś jest księdzem i posługuje we wspólnotcie, która pomaga bezdomnym i potrzebującym. Ks. Rogerio Valadares z Brazylii od grudnia jest w Szczecinie.

Od 13 lat należy do Przymierza Miłosierdzia, które ewangelizuje, m.in. wychodząc na ulice. Od trzech lat jest kapłanem. Zanim jednak poszedł do seminarium, przeżył głębokie nawrócenie.

Ojciec Rogerio został skierowany do Szczecina przez kardynała São Paulo na mocy umowy między kardynałem i Przymierzem Miłosierdzia a arcybiskupem Andrzejem Dzięgą, metropolitą szczecińsko-kamieńskim. Jest odpowiedzialny za fraternię w Szczecinie i grupy Przymierza Miłosierdzia rozproszone w Polsce.

Ks. Rogerio Valadares. Fot. Archiwum prywatne.



Piotr Kołodziejcki: Jak rodziło się powołanie, bo chyba wcześniej życie nie było takie anielskie?

Ks. Rogerio: Zanim poznałem wspólnotę Przymierze Miłosierdzia, przez dwa lata byłem członkiem grupy młodzieżowej. W tamtej grupie młodych przeżyłem swoje nawrócenie, tam wzrastałem i tam odkryłem moje powołanie w Przymierzu Miłosierdzia. Przed tym wszystkim byłem normalnym młodzieńcem, mieszkalem z rodzicami i bratem. Nigdy niczego nam nie brakowało. Niestety, mój ojciec był alkoholikiem i z tego powodu bardzo się buntowałem i podważałem istnienie Boga, od kiedy byłem dzieckiem. Myślałem sobie, jak może istnieć Bóg, skoro dzieją się takie rzeczy i On pozwala na to wszystko. Nie potrafiłem tego zrozumieć. Nie rozumiałem kwestii wolności każdego człowieka. Moja mama jest bardzo wierząca i dzięki niej zostałem wprowadzony w świat bardzo religijny. Zostałem ochrzczony, miałem bierzmowanie, mimo że to nie było moją wolą. Na swojej drodze spotkałem różne ideologie sprzeciwiające się chrześcijaństwu, anarchizm. Poznając je, miałem kontakt z różnymi ludźmi. Zacząłem wchodzić w świat narkotyków. Paliłem marihuanę, piłem. Imprezowałem całe noce, przychodziłem następnego dnia, ale ciągle czułem pustkę w moim sercu. W ogóle nie podobał mi się Kościół katolicki. Krytykowałem moją mamę, że wierzy w Boga, który nie istnieje, jak sądziłem.

W pewnym momencie mojego życia nie znajdowałem już sensu w niczym. Miałem dobrą pracę i dobrze zarabiałem, ale to mnie nie satysfakcjonowało. Brałem narkotyki, ale to też nie dawało mi satysfakcji. Wpadłem w depresję i wtedy pewne osoby zaprosiły mnie na rekolekcje dla młodych. Potem zrozumiałem, że to było za porozumieniem mojej mamy i tej grupy. Powiedziałem, że nie pójdę na to spotkanie, ale oni nalegali cały tydzień. Chwilę przed rozpoczęciem rekolekcji postanowiłem jednak pójść. Miałem wtedy 21 lat. To były trzydniowe rekolekcje. Cały czas przebywało się na miejscu, tam też się nocowało. Byli tam ludzie bardzo radośni. Mówili o Bogu, ale nic z tego nie dotykało mojego serca. W sobotę, kiedy padło już wiele słów, które nie dotyczyły mnie, pomyślałem, że to stracony czas. Chciałem stamtąd wyjść. Ktoś jednak poprosił, żebym został jeszcze moment. Postanowiłem zostać na kolejnej konferencji i po niej wrócić do domu. Okazało się, że to nie była konferencja, ale adoracja Najświętszego Sakramentu. Nie miałem wtedy większej wiedzy na ten temat, ale pamiętam, że kiedy kapłan wszedł do sali z Najświętszym Sakramentem, poczułem ogromną moc, wychodzącą stamtąd właśnie, która dotykała mojego serca. Mam pewność, że w tym momencie zobaczyłem Jezusa. To była kwestia sekund, w których wszystkie moje wątpliwości, przygnębienie, smutki i lęki przeminęły. Poczułem miłość miłosierną, miłość Boga, coś, czego nie czułem nigdy wcześniej w życiu. Pamiętam, że to było tak mocne doświadczenie, że upadłem na ziemię. Kiedy powstałem, nie byłem już tym samym człowiekiem. Po tym doświadczeniu

nigdy więcej nie żyłem tak, jak w przeszłości i nigdy więcej nie wątpiłem w Boga. Zacząłem pomagać grupie młodych, która przygotowywała rekolekcje i w 2000 roku miałem pierwszy kontakt z Przymierzem Miłosierdzia. To, czym chciało być Przymierze, było tożsame z tym, co czułem w sercu. Pół roku poznawałem wspólnotę, by w 2001 roku wejść do niej.

Czy wcześniej działał ksiądz w narkotykowych gangach?

Nigdy nie byłem dilerem, ale przez ówczesne przyjaźnie, chodziłem do fawel, kupowałem duże ilości narkotyków. To było jednak tylko na użytek własny i moich przyjaciół.

Czy z perspektywy czasu ocenia ksiądz, że ten początek to była chwilowa fascynacja Bogiem, czy od razu rodziło się głębokie powołanie?

Dwie rzeczy. Myślę o pewnym fragmencie, który jest w Liście św. Pawła do Galatów, gdzie św. Paweł próbuje wytłumaczyć swoje doświadczenie. Mówi, że Chrystus objawił się mu i ja mogę powiedzieć tak samo, że Chrystus objawił się we mnie. To jest coś, czego nie można wytłumaczyć. Ja też nie potrafię tego wytłumaczyć. Rozumowo nie da się tego zrobić. Jedynie jestem w stanie kontemplować to misterium, tajemnicę, która się wydarzyła. Wracając do tego momentu, mogę sobie uświadomić miłosierną miłość Boga, bo Bóg nie jest Bogiem, który nas ocenia i sądzi, nie wyrzuca nam naszych grzechów, ale kocha nas miłością bezwarunkową.

Druga kwestia. To było powołanie głębokie, bo tamtego dnia, kiedy miałem to doświadczenie, pamiętam, że upadłem na kolana. Byłem w pełni świadomy i usłyszałem głos, bardzo łagodny, ale silny i mocny zarazem. On mówił mi „Rogerio, pójdz za mną”. Później pracowałem jeszcze dwa lata w tej grupie. Chodziłem też z dziewczyną, ale głos wewnętrzny był mocniejszy. W pewnym momencie był on tak mocny, że zostawiłem wszystko, żeby za nim podążać.

Czy to, co działo się przed odkryciem powołania, było walką z szatanem czy z wolą, którą przygotował dla księdza Bóg?

W pierwszym momencie to nie była walka przeciwko Bogu, bo ja ideologicznie nie wierzyłem w Boga. Miałem „dobrych” nauczycieli, którzy nauczyli mnie nie wierzyć w Boga. Nie wierzyłem też w diabła. Nie byłem też tego rodzaju ateistą, który mówi „Jestem ateistą, dzięki Bogu”. Ideologicznie byłem uformowany, żeby być ateistą. Nie istniały żadne siły duchowe dla mnie. Nie istniały anioły, diabeł. Istniała tylko materia. Nie było walki przeciwko Bogu, bo myślałem, że Go nie ma. Wtedy pojawia się rana, gdzie diabeł zaczyna pracować w naszej głowie. Diabeł pracuje w przestrzeni idei, myśli. Mogę stwierdzić, że on pracuje na polu ideologii, więc kiedy przyjmujemy jakąś ideologię, on może tam wchodzić i pracować w głowie właśnie na tej

przestrzeni. Wtedy cierpi się na jego wpływ, bo on pracuje, szepcze do ucha, proponuje. To sprawia, że trudniejsze jest spotkanie się z Bogiem. To jest możliwe, jeśli jest interwencja Boska przez łaskę.

Co powie ksiądz młodym bez perspektyw, którzy nie widząc dla siebie miejsca w życiu, sięgają po narkotyki?

Po pierwsze, trzeba uznać, a jest to kontrowersyjne, że narkotyki są dobre. Mówię to jako osoba doświadczona. Gdyby narkotyki nie były dobre, nie byłoby milionów ludzi ich używających. Nie da rady więc mówić ludziom, że narkotyki są złe, bo to jest kłamstwo. Te osoby, które mówią, że narkotyki są złe, nawet nie zapaliły marihuany, nie brały kokainy. Nie pochwalam teraz narkotyków, bo jestem im zupełnie przeciwny. Musimy jednak poprawić nasz język, kiedy rozmawiamy z młodymi. Trzeba ich doprowadzić do refleksji: „Narkotyki są dobre, używasz ich, bo to jest przyjemne, czujesz się lepiej, potrafisz zrobić lepiej jakieś rzeczy. Pomyślmy jednak o tym na przestrzeni czasu. Jakie będą tego konsekwencje?”.

Trzeba zapytać młodą osobę, czy to, że bierze narkotyki sprawia, że jest szczęśliwsza, a jej przyjaciele są rzeczywiście prawdziwymi przyjaciółmi, czy zbliżają się do niej tylko interesownie? Kiedy znajdujesz się sama w pokoju, patrzysz na siebie w lustrze, zmywasz swój makijaż, czy możesz powiedzieć, że jesteś szczęśliwa? Kiedy jesteś sam w pokoju i widzisz przeogromną samotność, czy wtedy możesz powiedzieć, że jesteś szczęśliwy? Czy to co robisz dziś, sprawia, że stajesz się lepszym człowiekiem? A może używasz narkotyków, żeby być częścią jakiejś grupy? Jeśli tak, to znaczy, że potrzeby emocjonalne tej osoby są tak wielkie, że potrzebują głębokiego uzdrowienia.

Czy wiarę można budować tylko na emocji i doświadczeniu?

Nie. Wiara to coś, co możemy pogłębiać, ale sam papież Franciszek w adhortacji „Evangellii Gaudium” na początku zwraca uwagę na pewną rzecz. Zresztą to samo robił bł. Jan Paweł II. Zwraca uwagę na doświadczenie osobiste Boga, które jest niezbędną, żeby mogła narodzić się wiara. Kiedy rodzi się doświadczenie, zaczynasz je pogłębiać. Nie odwrotnie, że najpierw jest wiara rozumowa, a potem idziesz do doświadczenia. Najpierw jest doświadczenie osoby Chrystusa. Mając doświadczenie tej osoby, przechodzi się do wiary. Później można ją pogłębiać.

Dziękuję za rozmowę.

Przymierze Miłosierdzia powstało w 2000 roku w São Paulo. Działa w 36 miastach w Brazylii, a także w Portugalii, we Włoszech, we Francji, Belgii i w Polsce, gdzie swoje grupy ma w sześciu miastach, w tym również w Szczecinie.

MATUSZKA, CZYLI PRAWOSŁAWNA ŻONA

Tekst

Ks. Paweł Stefanowski

parafia prawosławna

pw. św. Mikołaja

W Kościele prawosławnym żony duchownych nazywane są Matuszkami. Słowo Matuszka przetłumaczyć można jako mateczka, matuś, matula. Oznacza matkę, jednocześnie pieśczośliwie i z szacunkiem. Tak jak do każdego prawosławnego kapłana wierni zwracają się batuszka, ojczy, gdyż jest on ojcem, opiekunem parafian, tak jego żona jest ich matką.

Zajmuje ona w hierarchii społecznej pozycję wysoką, ale określoną przez pozycję jej męża. Oczekuje się, że duchowny i jego żona będą swoim życiem publicznie dawać dowód oddania Zbawicielowi i stanowić dla wiernych wzór do naśladowania.

Kościół prawosławny stawia przed żoną kapłana właściwie tylko jeden bezwzględny wymóg – monogamii. Tak jak duchowny ma być „mężem jednej żony”, tak ona może być tylko „żoną jednego męża”. Oznacza to, iż mężczyzna ożeniony z kobietą niegdyś już zamężną, np. wdową, nie będzie mógł przyjąć święceń kapłańskich.

O tym, czy kobieta sprosta innym wymaganiom, zdecydować musi samodzielnie jej mąż. Małżeństwo zawierają bowiem wyłącznie ludzie świeccy. Wynika to z zasady hierarchizacji sakramentów – przyjmuje się je w określonej kolejności, sakrament kapłaństwa po sakramencie małżeństwa. Cerkiew nie opiniuje kandydatek na żonę, nawet gdy wiadomo, że narzeczony przygotowuje się do stanu duchownego. Zdecydowana bowiem większość kapłanów Kościoła prawosławnego to absolwenci seminarium duchownego, którzy wkrótce po jego ukończeniu zostają wyświęceni.

Ogólnie przyjęte jest, iż Matuszka powinna dzielić troski i kłopoty męża, wspierać go w jego pracy, wspomagać w posługach religijnych, w miarę potrzeby prowadzić chór, piec prosfory, przygotowywać święta parafialne. Oczywiście prowadzić dom – dom otwarty dla każdego parafianina. I opiekować się w miarę możliwości chorymi, potrzebującymi pomocy. Żona, matka, gospodyni, opiekunka cerkwi, służebnica parafian.

Na podstawie artykułu Anny Wysockiej z „Przeglądu Prawosławnego” nr 6 (216) czerwiec 2003

ŚWIADECTWO - BYĆ ŻONĄ KAPŁANA

Tekst

Iwona Marciszak

parafia Cerkwi Greckokatolickiej

pw. św. Jozafata w Stargardzie Szczecińskim

Gdyby dawno temu ktoś mi powiedział, że zostanę żoną księdza, pewnie bym go wyśmiała. Żoną księdza?! Jestem katoliczką, a od kiedy to kapłan katolicki ma żonę?

W środowisku, w którym się wychowałam, nie spotkałam żonatego kapłana. Wszyscy nasi kolejni greckokatolicki proboszczowie byli celibatariuszami i nie miałam nawet pojęcia, że istnieje inna opcja...

Ale po kolei...

Wychowałam się w rodzinie, którą w 1947 roku przesiedlono na Warmię w ramach akcji „Wisła”. Mama, ze względu na to, że była nauczycielką i przewodniczącą miejscowego ZUwP (Związku Ukraińców w Polsce), nie mogła publicznie uczęszczać do kościoła. Ale w domu świadomie mówiliśmy o Bogu, uczęszczałam na katechezę w salce, którą prowadziła niezłomna „siłaczka” s. Romana, bazylianka greckokatolicka (dojeżdżała aż z Warszawy). Jej postawa i osobowość zachwyciły mnie tak bardzo, że zapragnęłam również być zakonnica. W wieku 19 lat, po maturze w ukraińskim LO, udało mi się to pragnienie zrealizować, mimo zdecydowanego sprzeciwu rodziców (byłam jedynaczką). Pięć pięknych lat na modlitwie, kontemplacji i pracy wśród córek Św. Bazylego (OSBM) minęły bardzo szybko. Byłam bardzo szczęśliwa, realizując się jako siostra. Myślę, że Pan Bóg wiedział, co robi – lata przeważnie „bujnej młodości” wziął dla Siebie, ochronił mnie i kształtował. Bóg i ja – związek ten naprawdę dawał mi wiele szczęścia...

I wtedy zmarła moja mama... Jako jedynaczka musiałam wrócić do domu, by zająć się chorym tatą. I tak moje życie znów zmieniło się o 180°. Wtedy już wiedziałam, że istnieje żonate greckokatolickie duchowieństwo, bo takich kapłanów spotykałam przy okazji swej pracy. Podczas kontynuacji studiów teologicznych w Warszawie Pan Bóg postawił na mej, bardzo już pokręconej drodze życia mego przeszłego męża. Fakt, że pragnął zostać kapłanem, był, myślę, decydujący dla naszego związku. Nie wyobrażałam sobie bowiem życia bez współpracy z Kościołem, pracy dla wspólnoty i modlitwy.



Fot. Archiwum prywatne.

Pierwszą naszą parafią była nowo utworzona parafia greckokatolicka w Łomiankach pod Warszawą, gdzie oboje kontynuowaliśmy swoje doktoranckie studia teologiczne. Parafia była specyficzna. Mieszkaliśmy na terenie klasztoru ojców augustynianów, a służyliśmy emigrantom z Ukrainy, których w Łomiankach było około trzech tysięcy. Byli to biedni ludzie, którzy przyjechali do Warszawy za chlebem. Moja rola w parafii polegała głównie na prowadzeniu śpiewu na nabożeństwach oraz organizowaniu różnych spotkań, wieczorków, ognisk, a nawet potańcówek dla naszych wiernych. Była to bardzo prężna wspólnota, z którą byliśmy bardzo związani. Ci ludzie tak naprawdę mieli tu tylko nas. Parafia dawała im namiastkę domu – Ukrainy. Wtedy też pierwszy raz zaczęto do mnie mówić „pani imość” – tak bowiem na Ukrainie nazywa się żonę księdza. Dla mnie była to nowość, tym bardziej kiedy mówili tak do mnie ludzie w wieku moich rodziców.

W Warszawie urodziły się dwie nasze starsze córki. W związku z miejscem zamieszkania – mały domek daleko od głównej ulicy – powstała mała anegdota. Nasi sąsiedzi dłuższy czas nie nawiązywali kontaktów z nami, mimo prób z naszej strony. Pewnego dnia starsza sąsiadka zapytała mego męża wprost: „jak to jest, że odprawia ksiądz msze w kościele, a tu przyjeżdża do jakiejś kobiety z dziećmi?”. Myślała ona, że jestem „utrzymanką” księdza. Rusłan, mój mąż, wyjaśnił pokrótce pani na czym polega tradycja Cerkwi greckokatolickiej i że jestem jego żoną. Od tego czasu była to nasza najmilsza sąsiadka.

W 2006 roku dostaliśmy dekret naszego ordynariusza na objęcie parafii w Stargardzie Szczecińskim. Szczerze mówiąc, nawet nie wiedzieliśmy gdzie to jest! Sądząc po nazwie, gdzieś obok Szczecina. W lutym zapakowaliśmy niewielki dobytek do samochodu i wyruszyliśmy na nową parafię. Niestety, wiązało się to z zamknięciem parafii w Łomiankach.

W Stargardzie dla mnie jako żony kapłana początki były bardzo trudne. Nie czułam się do końca akceptowana przez miejscową wspólnotę, nie miałam pracy, a wszyscy przyjaciele zostali w Warszawie. Nigdy wcześniej (oprócz samego początku) parafia nie miała żonatego duszpasterza i wierni nie mogli się do mnie przekonać. Dopiero po około roku, widząc, że potrafię coś dla parafii zrobić i że nie jest im ze mną tak źle, zaczęli się odkrywać i przyzwyczajając do mojej obecności w parafii.

I znów mnóstwo śmiesznych sytuacji – myślę, że starczyło by ich na całą ksiązkę. Skąd w Stargardzie żonaty katolicki ksiądz? A może coś kręci?

Kiedy zaczęłam pracę w szkole jako nauczycielka rzymskokatolickiej religii, nie mogłam nadążyć z odpowiadaniem na wszystkie pytania dotyczące mnie i mego męża. Jak to – katechetka a ma księdza za męża? Z biegiem lat wszyscy poznali naszą specyficzną rodzinę, zaprzyjaźnili się z nami, a nawet zaufali naszym możliwościom (zostałam wybrana przewodniczącą miejscowego Związku Ukraińców).

W Stargardzie urodził się nasz syn, co też wiązało się z „pielgrzymkami” pielęgniarek, które chciały zobaczyć dziecko księdza. Ot, cóż, taka specyficzna nasza rodzina, a jeszcze bardziej wyjątkowa moja życiowa rola. Najważniejsze, że jestem z niej bardzo szczęśliwa i oddana całą sobą pracy na parafii, byciu razem ze wspólnotą i pomocy mężowi w pracy i prostemu trwaniu w drodze, na której postawił nas Pan.

Powołanie do bycia żoną kapłana nasz Kościół traktuje bardzo poważnie, wspiera nas, organizując spotkania i rekolekcje. Znakiem czasów jest, że jest nas – żon księży grekokatolickich w Polsce – coraz więcej. Żonate kapłaństwo tradycyjnie przypisane naszemu Kościołowi było w Polsce przez kilkadziesiąt lat (a w niektórych krajach do dzisiaj) bardzo ograniczane. Po prostu nie było zgody na inną drogę dla kapłana grekokatolika jak celibat.

Każda żona księdza (ślub musi się odbyć przed święceniami przyszłego prezbitera) jest zobowiązana na piśmie: „iść, dokądkolwiek pośle ją Kościół razem z mężem i poddać się woli swego biskupa”. Jest to bardzo ważne zobowiązanie. Wynika z niego współudział w powołaniu męża – kapłana, zgoda na wszelkie decyzje jego dotyczące oraz zobowiązanie do życia Ewangelią – w tym już jest wszystko zawarte.

Wierzimy w Opatrzność Pana, prosimy o siłę i opiekę oraz prowadzenie nas do tych ludzi, do których nas posłał. Wspólna modlitwa razem z parafią, która jest naszą rodziną, dla której tu jesteśmy, daje nam siłę. Choć czasem bywają ciężkie chwile, chwile zwątpienia i trudności – to wiemy że Bóg jest z nami i my jesteśmy z Nim i dla Niego.

PIĘKNY TRUD I WAŻKIE PIĘKNO

Tekst

s. Anna od Chrystusa Baranka

Mam na imię Anna. Ponad 20 lat temu odpowiedziałam „tak” na wewnętrzne wezwanie Pana Jezusa, by pójść za Nim, by być nie tylko Jego uczennicą, ale i oblubienicą. Spróbuję podzielić się z Czytelnikami tą tajemnicą życia, jaką jest życie dziewicze oddane Bogu i Kościołowi. Wybrałam dwa określenia, które w różnych konfiguracjach na dziś oddają moją drogę: piękno i trud.

Słuchanie serca i słuchanie Boga

Jako młoda studentka matematyki w czasie pewnej pielgrzymki prosiłam Pana o jasne Słowo, jaką drogą iść dalej: małżeństwo czy konsekracja. Wówczas podczas Eucharystii była odczytywana Ewangelia Mt 19,3-12, która przemawiała do mnie etapami.

- 1) Najpierw usłyszałam: „... od początku stworzył ich jako mężczyznę i kobietę? [...] Dlatego opuści człowiek ojca i matkę i złączy się ze swoją żoną...” Naturalna dążność człowieka. Czułam ją w sobie. Myślałam, że to ta poszukiwana odpowiedź, ale Słowo siało dalej...
- 2) „Nie wszyscy to pojmują, lecz tylko ci, którym to jest dane. [...] są i tacy bezżenni, którzy dla królestwa niebieskiego sami zostali bezżenni. Kto może pojąć, niech pojmuje!” Kto może pojąć... Kto? Wtedy mi się wydawało, że Pan mówi do mnie i rodziło się pytanie, czy pojąć potrafię?

Dwa lata były potrzebne do rozwiązania tego najważniejszego życiowego pytania, którą drogą mam iść: tą, którą od początku Stwórca zamierzył, czyli małżeństwo, czy tą, którą Jezus przyniósł swoim życiem, czyli konsekracja (matematyczne wzory rozwiązywałam szybciej).

Zaproszenie ku wyłączności dla Boga czułam, jednak czułam też, że Bóg mnie nie naciska. Kiedyś w modlitwie natknęłam się na Księgę Pieśni nad Pieśniami i w jednym z wersetów odczytałam wówczas słowo, które odebrałam jako

Jego słowo o mnie: „Nie budźcie ze snu, nie rozbudzajcie ukochanej, dopóki sama nie zechce” (Pnp 3,5b). Niesamowite, ale właśnie owa pozostawiona mi wolność wyboru jest momentem, do którego wracam i dziś. Zostałam przekonana o miłości mego Pana, ponieważ doświadczyłam miłości, która umie czekać i nie wymusza.

Trud wspólnego życia

Po ukończeniu studiów, po zamknięciu spraw związanych z pracą, wyjechałam z miasta rodzinnego, aby zamieszkać pod jednym dachem z Jezusem. Wstąpiłam do Zgromadzenia Sióstr św. Jadwigi Królowej Służebnic Chrystusa Obecnego. I tak od ponad 20 lat mieszkamy razem, zmieniając, czasem niespodziewanie dla mnie, miejsca pobytu. Obecnie trzeci rok „mieszkamy” w Szczecinie. Dom zakonny tym się różni od zwykłych mieszkań, że jest w nim kaplica z Najświętszym Sakramentem – czyli że w domu zakonnym obecny jest Jezus w tajemnicy swego Ciała i Krwi.

Pierwsze lata życia zakonnego, lata formacji, to był trud, piękny trud w odkrywaniu i poznawaniu Pana i poznawaniu wspólnoty – sióstr, jakie mi Pan dał do miłowania. To był TRUD i to jest trudem nadal, ponieważ życie wspólne wymaga pracy nad moim człowieczeństwem. To jest po prostu umieranie egoizmowi. Jednak jest to PIĘKNY trud, bo sensowny, pozytywny w rezultatach, budujący harmonię, wręcz estetykę odbieraną przez zmysły zewnętrzne i wewnętrzne. A co najważniejsze – ten trud jest we współpracy z Bogiem. Chcę tu zacytować R. Rohra, który świetnie uchwycił działanie Boga w duszy:

„Św. Jan od Krzyża nauczał, że Bóg musi pracować w duszy w tajemnicy i w ciemności, ponieważ gdybyśmy mieli pełną świadomość, co się dzieje oraz czego w końcu zażąda od nas Tajemnica-Przemiana-Bóg-Łaska, staralibyśmy się albo przejąć kontrolę, albo cały ten proces zatrzymać. Nikt z ochotą nie przygląda się własnemu umieraniu, nawet jeżeli jest to śmierć fałszywego «ja». ... Bóg musi rozwiązać nasze złudzenia niejako potajemnie, kiedy nie patrzymy i nie mamy nad tym procesem całkowitej kontroli. Być może z tego właśnie powodu „Tajemnica” jest tak naprawdę najlepszym słowem określającym Boga. Posuwamy się do przodu, nawet nie wiedząc jak, dzięki cichemu działaniu czasu i łaski. Kiedy już docieramy na miejsce, nigdy nie jesteśmy pewni, w jaki sposób do tego doszło”.

Tajemnica zażyłości z Chrystusem

Właśnie w taki sposób – często potajemny, ale też z całym moim zaangażowaniem się, staję się z dnia na dzień oblubienicą Pana i wiem, że On mnie kształtuje; wiem, że daję się kształtować na Jego podobieństwo. On chce tu na ziemi, w moim najbliższym otoczeniu, kochać przeze mnie.

Bardzo lubię patrzeć na małżeństwa w różnym wieku. Cieszy mnie zakochanie

młodych i odpowiedzialność starszych, urzeka mnie wrażliwość wzajemna staruszków. Wierność małżeństw, ale także wierność tych, którzy zostali porzuceni, jest dla mnie czymś bardzo ważnym w przeżywaniu mojej tożsamości jako osoby konsekrowanej. Małżeństwo jest sakramentem, więc ukazuje coś więcej niż samo małżeństwo... Ukazuje w swej rzeczywistości tajemnicę miłości Boga i człowieka, tajemnicę zaślubin Boga i duszy. A ja przecież także noszę obrączkę!

„Dlatego opuści człowiek ojca i matkę, a połączy się z żoną swoją, i będą dwoje jednym ciałem. Tajemnica to wielka, a ja mówię: w odniesieniu do Chrystusa i do Kościoła” (Ef 5,31-32). Doświadczam na sobie tej tajemnicy, o której mówi św. Paweł, doświadczam tej zażyłości Chrystusa z Kościołem we własnym ciele i duchu.



s. Anna od Chrystusa Baranka. Fot. Archiwum prywatne.

Zgoda na macierzyństwo

Choć nie przeżywam fizycznej bliskości drugiego człowieka, który może wesprzeć, umocnić, potwierdzić (a jako kobieta tego wszystkiego potrzebuję), to jednak doświadczam Obecności miłującej i wspierającej. Co więcej, sama jako kobieta w swej konsekracji daję życie i doświadczam macierzyństwa duchowego.

Daję życie najpierw Jezusowi w sobie samej. To paradoks! On, Dawca życia, a potrzebuje mnie, potrzebuje mojej zgody (jak potrzebował kiedyś Maryi i Jej zgody). Aby żyć we mnie, potrzebuje mego życia, które Mu daję. W moim ciele, w moich postawach, w moim myśleniu, w moich wyborach, w moich uczuciach daję miejsce dla Jezusa, dla Jego „wcielenia się” w moje ciało (por. Mk 3,31-35).

Cieszę się, gdy ludzie odnajdują Boga i gdy mogę im w tym pomagać. Boli mnie i cierpię okrutnie, gdy odchodzą od Boga, gdy widzę, że lekceważą Jego miłość i dary, które otrzymali. Wiem, że w takich momentach mogę tylko trwać na modlitwie, nieść te osoby w swym sercu jak matka. To wymiar

dawania, miłowania, trwania, rodzenia. To płodność, która nie jest ze mnie, ale z Niego, niemniej przechodzi przez moje serce, psychikę, często też przez ciało.

Wymiar oblubieńczy

Jest jeszcze jeden wymiar mego życia – wymiar oblubieńczy, intymny. Wymiar modlitwy, która jednoczy mnie z uczuciami Jezusa. Myślę, że każda kobieta żyjąca w małżeństwie przeżywa z mężem takie chwile, kiedy są we dwoje i dzielą ze sobą nie tylko łóże, ale i serca. Dzielenie serca z Bogiem jest przestrzenią mistyczną, ale nie zarezerwowaną tylko dla nielicznych wybranych. Niestety, tylko niektórzy chcą tam wejść. Inni z różnych powodów unikają tej przestrzeni. Trudno o niej pisać, nie chcę jej więc jakimś nieodpowiednim słowem sprofanować. W każdym razie jest to miejsce wymiany miłości Bosko-ludzkiej. To jest jak tygiel, gdzie moje ludzkie, doświadczane cierpienie przetapia się w miłowanie.

Ten wymiar jest najistotniejszy w życiu konsekrowanym i jest wcześniejszy od doświadczenia macierzyństwa duchowego. A to, że zostawiłam go w mej wypowiedzi na końcu, oznacza tyle, że ten wymiar się nie kończy, on się pogłębia i jest antidotum na możliwą i realną rutynę codzienności.

Jestem kobietą z krwi i kości. Nie połączyłam się z mężczyzną, bo ofiarowałam swoje życie Bogu. Chciałam jak Jezus być cała dla Ojca i dla Królestwa. Chciałam jak Jezus być czysta, uboga i posłuszna. Takie pragnienie odkryłam w głębinach mego serca. Wiem, że to jest łaska. Niczym na to nie zasłużyłam. Wiem, że moje powołanie nie jest nagrodą za jakieś moje czyny. Jest wolnym wyborem Miłości Ojca i jest wolną odpowiedzią mego serca.

Ofiarowanie się Bogu – to jest odpowiedź na łaskę. Bo to Bóg jest tym, który daje. Być dla Niego darem, a tym jest konsekracja, to odkryć już w sobie coś boskiego... Dlatego PIĘKNO takiego życia, życia konsekrowanego, jest WAŻKIE (bo nie jest bezwartościowe, jałowe, czy zbędne – świadomie używam przeciwstawnych określeń terminu „ważkie”). Przeciwwstawieństwa mogą czasem bardziej pomóc w ukazaniu jakiejś prawdy, zwłaszcza kiedy ona zahacza o wymiar boski.

Epilog – w rytmie tańca

Na koniec nie mogę oprzeć się chęci zacytowania wiersza autorstwa Madeleine Delbrel, pt. „Panie, przybądź nas zaprosić”. Ten wiersz bardzo dobrze oddaje trud i piękno życia z Bogiem. Tak przeżywam moje życie, moją konsekrację, jako swoisty taniec mego serca, które należy do najlepszego Tancerza, jakim jest Bóg.

*By być dobrym tancerzem – z Tobą, jak i gdzie indziej – nie trzeba
wiedzieć, dokąd to prowadzi,
trzeba dać się ponieść, być radosnym, być lekkim,
a zwłaszcza nie można być spiętym.
Nie trzeba prosić Cię o wyjaśnienia*

kroków, które podoba Ci się robić.
Trzeba być jak Twoje przedłużenie,
być zwinnym i żywym.
I za Twoim pośrednictwem odbierać rytm orkiestry.
Nie należy chcieć za wszelką cenę przyspieszać,
lecz trzeba zaakceptować, że się obracamy, że chodzimy bokiem.
I to byłyby jedynie głupie kroki,
gdyby muzyka nie tworzyła harmonii.

Lecz my zapominamy muzykę Twojego Ducha
i czynimy z naszego życia ćwiczenia gimnastyczne;
zapominamy, że w Twoich ramionach ono się tańczy,
że Twoja Święta Wola
ma niepojętą wyobraźnię
i że monotonię i znudzenie
odczuwają tylko stare dusze,
które podpierają ściany
na radosnym balu Twojej miłości.

Panie, przybądź nas zaprosić.
Jesteśmy gotowi zatańczyć Ci zakupy, które musimy zrobić,
rachunki, kolację, którą trzeba przygotować, czuwanie, gdy będzie się chciało spać.
Jesteśmy gotowi tańczyć taniec pracy,
taniec zapału, a później chłodu.
Jeśli niektóre melodie są w tonacji minorowej, nie powiemy Ci,
że są smutne;
że mamy przez nie zadyszkę;
a jeśli ludzie nas popychają, przyjmiemy to ze śmiechem,
dobrze wiedząc, że to się zawsze zdarza w tańcu.

Panie, wskaż nam miejsce,
gdzie w tej wiecznej powieści
rozpoczętej między Tobą i nami
odbywa się szczególny bal posłuszeństwa.
Odstoń przed nami wielką orkiestrę Twych pragnień,
gdzie to, na co pozwalasz,
rzuca dziwne nuty
w pogodę tego, czego chcesz.
Naucz nas przywdziewać każdego dnia
naszą ludzką kondycję
jak balową suknię, która sprawi, że pokochamy
wszystkie drobiazgi jak nieodzowną biżuterię.

Spraw, byśmy przeżywali nasze życie
nie jako grę w szachy, gdzie wszystko jest obliczone,
ani jako mecz, gdzie wszystko jest trudne,
ani jako twierdzenie matematyczne, które nas męczy,
lecz jako niekończące się święto,
na którym powtarza się spotkanie z Tobą.
Jak bal,
jak taniec
w ramionach Twojej łaski,
w uniwersalnej muzyce miłości.

JESTEM ŻONĄ KSIĘDZA...

Tekst

diakon Izabela Sikora
parafia ewangelicko-augsburska
w Szczecinie

Drodzy czytelnicy czasopisma „Prosto z mostu...”! Na samym wstępie chciałabym zaznaczyć, że dzieląc się swoimi przemyśleniami, odczuciami i doświadczeniami czynię to jako żona księdza – to prawda, ale jednocześnie podkreślam, że używając w tekście tegoż sformułowania mam na myśli to, że jestem żoną księdza Sławka Sikory, konkretnego człowieka powołanego do konkretnej służby. Nie wydaje mi się, aby można było w jakiś sposób generalizować czy jednoznacznie określić rolę żony duchownego ewangelickiego. Wiadomo, że tak jak w każdym związku małżeńskim spłot wielu czynników, na które składają się nasze uczucia, oczekiwania, marzenia, plany rodzinne i zawodowe i długo by można tu wymieniać, tworzą pewien obraz związku kobiety i mężczyzny, żony i męża. Od tychże składników zależy często, czy obraz ten jawi nam się jako przynoszący szczęście czy będący źródłem nieszczęścia. Byciu żoną, niezależnie czyją, zawsze towarzyszą jakieś odczucia, dla każdej z kobiet inne, choć czasem bardzo zbliżone. Bycie żoną księdza? Co to zatem dla mnie oznacza?

Zdaję sobie sprawę, że dla wielu samo sformułowanie „żona księdza” wydaje się na tyle egzotyczne, że można by o tym napisać książkę. Nie mam zamiaru podważać takiej oceny. Wiem, że w naszym społeczeństwie budzi to wciąż emocje. Tym niemniej dla mnie jest to o tyle egzotyczne, o ile egzotyką można nazwać służbę Bogu i postuszeństwo Jego Słowu. Kiedy piszę o służbie Bogu, to mam na myśli naszą służbę: mojego męża i moją. Kiedy pobieraliśmy się czternaście lat temu, oboje mieliśmy to przekonanie: nasze życie będzie służbą Bogu. Oboje skończyliśmy studia teologiczne, oboje czuliśmy, że naszym powołaniem jest praca dla Boga. To miało być naszym życiem. Wchodząc w związek małżeński, nie miałam ani na chwilę poczucia, że to, co przede mną, to służba Sławka i moje radzenie sobie z tą ekstremalną sytuacją. Nie. Od samego początku byliśmy w tym razem i jesteśmy do dziś. To wielki dar i błogosławieństwo. Patrzenie na swoje życie małżeńskie przez pryzmat powołania daje naprawdę wspaniałą perspektywę. Bycie żoną księdza oznacza zatem wspólne kroczenie drogą, którą wyznaczył nam Pan Bóg. A co na tej drodze...?

Na tej drodze zawsze jest drugi człowiek, który potrzebuje rozmowy ze swoim księdzem, który potrzebuje wsparcia, modlitwy, czasem bardzo materialnej pomocy. Na tej drodze są ludzie, którzy potrzebują swojego duszpasterza, kaznodziei, proboszcza. Dlatego w naszym życiu tak wielu jest tych „Drugich” jak powiedziała by M. Buber czy „Innych” jak określił by E. Levinas. To do nich posłał nas Bóg i my jesteśmy gotowi być dla nich. Jestem żoną mężczyzny, który jest dla innych, który podejmuje walkę o drugiego człowieka, o jego życie przede wszystkim w tym wymiarze duchowym. Taka walka związana jest często z wieloma emocjami. Cieszę się, że możemy o nich rozmawiać, dzielić się tym, co przeżywamy. Oczywiście nie o wszystkim zawsze możemy powiedzieć, ponieważ bywają takie sytuacje i takie rozmowy, które objęte są tajemnicą spowiedzi, tajemnicą rozmowy duszpasterskiej. Jestem żoną księdza i to rozumiem. Cieszę się z tego, że czasami mogę być, po prostu być..., ponieważ, jak mówią słowa pewnej znanej piosenki: „Niełatwo cudzy ciężar wziąć w ramiona tak jak Ty”. To jednocześnie oznacza, że jestem żoną człowieka, który jest wojownikiem, walczy modlitwą i Słowem. Nie z każdej jednak walki wychodzi się bez szwanku, czasami Bóg posyła drugiego człowieka, by pomógł opatrzyć rany. Dobrze jest mieć męża wojownika, który jest pewny i walczy, wierząc w zwycięstwo, jest bowiem przekonany, że „zwycięstwo, które zwyciężyło świat to wiara nasza”.

Być żoną księdza oznacza również być w nieustającym dialogu. Nasze życie jest przestrzenią, jakimś rodzajem mówienia, nawet bez wypowiedzania słów. Jakimś sposobem przenikania tego, o czym mówimy, z tym, co robimy. Wiele, wiele było i jest również teologicznych dyskusji w naszym domu. Dobrze jest mieć męża księdza. On zawsze wie, kiedy usłyszysz tzw. trudne pytanie, chyba potrafi to odczytywać z tonu wypowiedzianego pytania: „A Sławek, powiedz mi jak to jest...?”. Później zawsze długo rozmawiamy, a ja wiem, że mój mąż jest księdzem nie bez powodu. Pan Bóg daje Mu wiele mądrości, którą chętnie dzieli się ze swoją żoną.

Izabela Sikora. Fot. Piotr Kołodziejski, radioszczecin.pl



Przed zawarciem związku małżeńskiego każda para, tzn. ksiądz i jego narzeczoną, muszą odbyć rozmowę z biskupem. Nasza rozmowa miała bardzo szczerzy i otwarty charakter. Usłyszałam wówczas o szklanym domu, o tym, że wszyscy będą na nas patrzeć, o tym, jaki panuje ideał „pastorowej” w naszym Kościele. Wiem, że w wielu aspektach jest to prawdą. Służymy Bogu i chcemy nie tylko mówić, ale i to pokazywać naszym życiem. Czy jesteśmy w tym prawdziwi? Mam nadzieję, że tak, że szczerzy i prawdziwi, a to oznacza, że nie jesteśmy idealni, choćbyśmy sobie tego bardzo życzyli, że popełniamy błędy jak wszyscy inni ludzie. Jednocześnie jesteśmy tak pełni zaufania Bogu, że warto dać życie w służbie drugiemu człowiekowi, również po to, aby pokazywać, że w Chrystusie nasza, ludzka słabość może okazać się siłą.

A czy będąc żoną księdza mieszkam w szklanym domu? Nie wydaje mi się. Mądrość polega na dawaniu z siebie tyle, ile dać można, a zachowaniu dla siebie tyle, ile potrzeba, tak, aby czuć się szczęśliwym. Mam męża księdza, ale to nie oznacza, że po naszym domu bez przerwy kręcą się jacyś ludzie. To racja, bywają często, ale zawsze wtedy, gdy mamy poczucie, że tego chcemy. Bycie żoną księdza nie równa się zatem ciągłemu parzeniu herbat dla nieustannie przebywających w naszym domu ludzi. Jestem żoną niezwykle otwartego na rozmowę z drugim człowiekiem księdza, który ma również przekonanie, że jest pewna przestrzeń naszego osobistego, rodzinnego życia, o którą trzeba dbać i walczyć. Wiele z rozmów, które mają miejsce na parafii, odbywa się poza naszym mieszkaniem, np. w tzw. salce rozmów, sali parafialnej, kancelarii czy kościele, w zależności oczywiście od tego, jaki te rozmowy mają charakter.

Jestem żoną księdza, który nigdy nie przestał wierzyć w swoją żonę, któremu tak wiele w życiu zawdzięczam, który tak często podnosił, dodawał sił, modlił się za mnie. Mam męża księdza, który zawsze był przekonany o moim powołaniu, o sensie mojej służby w Kościele i wiem, że On jest dla mnie darem od Boga, który tak często nie pozwala zwątpić, dla którego zawsze byłam częścią jego służby i jestem przekonana, że dzięki Jego wsparciu dziś jestem nie tylko żoną księdza, a więc pastorową, ale mogę być diakonem, duchownym w służbie dla Boga i Kościoła. Są tacy, którzy zastanawiają się, jak można pogodzić życie w służbie z rodziną. Jak to jest być żoną księdza, którego tak często nie ma w domu, który tak wiele czasu poświęca drugiemu człowiekowi i Kościołowi. Zadano mi kiedyś pytanie: „a co pani czuje w sytuacji, gdy np. dziecko zachoruje, ma wysoka gorączkę, a mąż jest wezwany do umierającego?”. Tak, bycie żoną księdza może sprawiać, że stajemy wobec takich wyborów. Dla mnie jednak one nie są trudne, bo jak piszę – od początku nasze życie jest naszą służbą, dlatego oczywiste jest dla mnie, że pojedzie do umierającego, bez żalu i pretensji. Z pewnością ja również nie zostaję

sama, bo mam u boku kogoś, kto zawsze mi pomaga, Boga, który jest żywy i prawdziwy i który dba o swoje dzieci.

A co z sytuacjami, gdy pada pytanie: „A kim jest pani mąż?”. Odpowiadam dumnie, że mój mąż jest księdzem... ewangelickim, może zatem mieć żonę i dzieci. Coraz to łatwiejsze w naszym kraju, choć wciąż jeszcze trochę pachnie sensacją.

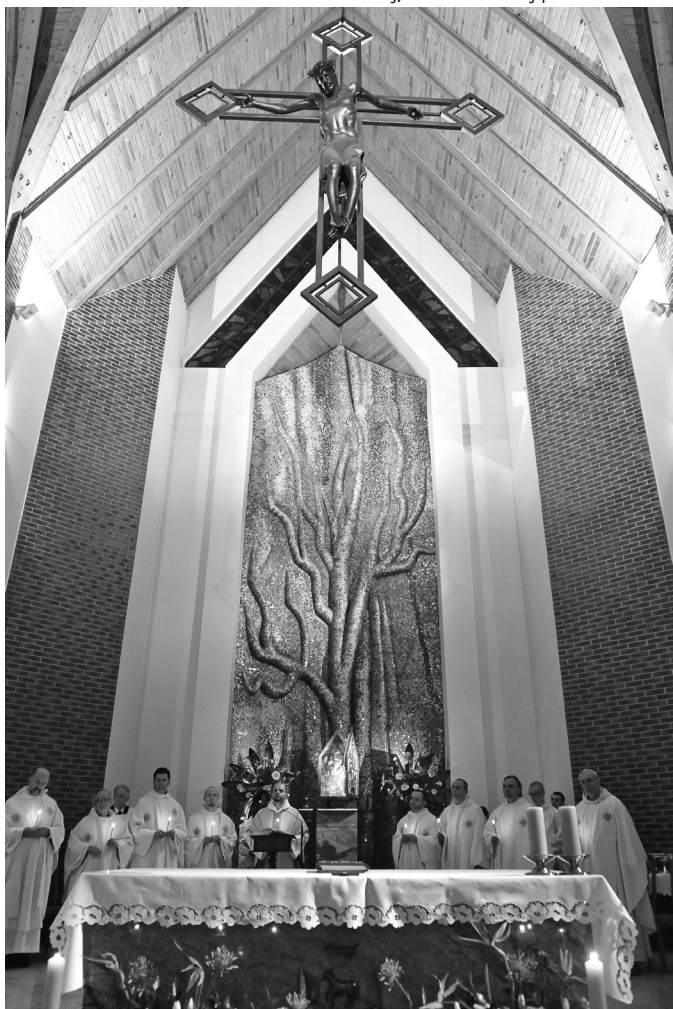
DOMINIKANIE - ZAKON KAZNODZIEJÓW

Tekst

o. Patryk Zakrzewski
dominikanin

Zakon Kaznodziejów (łac. *Ordo Praedicatorum* – stąd skrót „OP”) powstał ze współczucia i pragnienia głoszenia Słowa Bożego. Na początku XIII wieku św. Dominik Guzman, kanonik katedry w Osmie, w czasie podróży przez Europę spotkał albigensów – ludzi pragnących gorliwie żyć Ewangelią, którzy jednak interpretowali ją po swojemu, co doprowadziło do zerwania jedności z Kościołem. Dominik współczuł im i dostrzegł, że ich pogubienie było w dużej mierze wynikiem deficytu głoszenia Słowa Bożego w ówczesnym Kościele. Tak zrodziła się idea zakonu, którego podstawowym

Fot. Łukasz Szelemej, www.szelemej.pl



zadaniem jest kaznodziejstwo, czyli głoszenie „wszystkim, wszędzie i na wszelkie sposoby”.

Dominik (od którego szybko zaczęto nazywać zakon „dominikanami”) zaczął gromadzić wokół siebie braci, którzy podzielali jego pragnienie, aby – jak to wyraził papież Honoriusz III – „obrawszy ubóstwo i życie w zakonnej wspólnocie, oddać się posłudze słowa Bożego, głosząc po całym świecie Imię Pana Naszego Jezusa Chrystusa”. Tenże papież zatwierdził zakon dominikański 22 grudnia 1216 roku.

Według św. Dominika słowo Boże powinno się głosić całym swoim życiem. Postawę tę wyraża bardzo popularna w zakonie dewiza: *contemplata aliis tradere* – nauczać innych tego, w czym jest się samemu zakorzenionym poprzez kontemplację. Stąd też od samego początku do fundamentów życia dominikańskiego należy życie we wspólnocie zakonnej oraz nauka i studiowanie. Z tego powodu klasztory dominikańskie powstawały często w wielkich miastach – w pobliżu uniwersytetów, w których rozwój dominikanie wnieśli istotny wkład.

Od początków istnienia zakonu jedną z jego cech charakterystycznych był demokratyczny sposób rządów, który wyżywał z niezwykłego zaufania, jakim św. Dominik obdarzał swoich braci i jego pragnienia, by ważne decyzje były podejmowane wspólnotowo. Oznacza to m.in., że przełożeni uzyskują swój urząd drogą wyboru dokonanego przez braci. Tak dzieje się zarówno w przypadku przeora – wybieranego przez braci zamieszkujących dany klasztor, prowincjała – wybieranego przez przedstawicieli klasztorów, jak i generała zakonu – wybieranego przez przedstawicieli wszystkich prowincji zakonu z całego świata.

Do Polski dominikanie trafili już na samym początku istnienia zakonu. Pierwszy polski dominikanin – św. Jacek Odrowąż – już w 1222 roku założył klasztor w Krakowie, który istnieje do dzisiaj i jest macierzystym domem polskich dominikanów. Po nim szybko powstały kolejne klasztory w wielu polskich miastach i jest ich obecnie w Polsce dwadzieścia. Jedną z młodszych wspólnot jest wspólnota szczecińska, która w roku 2014 będzie obchodziła 25-lecie swojego istnienia.

Polska prowincja dominikanów liczy obecnie ponad 450 braci, którzy pracują zarówno w Polsce, jak i w wielu innych miejscach na świecie. Kilkudziesięciu z nich to bracia w trakcie tzw. formacji początkowej, która rozpoczyna się od rocznego prenowicjatu, czyli czasu poświęconego na wspólne spotkania formacyjne, rekolekcje i indywidualne rozmowy z magistrem prenowicjatu.

Jest to czas na podjęcie dojrzałej decyzji o wyborze życia zakonnego we wspólnocie braci kaznodziejów. Kolejnym etapem jest roczny nowicjat, który mieści się w klasztorze w Warszawie na Służewie i jest czasem próby i doświadczenia sposobu życia w zakonie. Bracia nowicjusze noszą już habitę i, żyjąc życiem klasztornym, przygotowują się do złożenia pierwszych ślubów zakonnych. Następnym etapem formacji jest tzw. „studentat”, czyli czas poświęcony na odbycie sześcioletnich studiów z zakresu filozofii i teologii oraz dalszą formację do życia zakonnego. Okres ten bracia spędzają w klasztorze krakowskim. Pod koniec piątego roku studiów bracia, którzy są do tego gotowi, składają śluby wieczyste, które już nieodwołalnie wiążą ich z zakonem na całe życie. Następnie większość z nich przyjmuje święcenia diakonatu, a na ostatnim roku święcenia prezbiteratu, po których posyłani są przez prowincjała do różnych klasztorów naszej prowincji. Niektórzy z braci składają śluby zakonne, ale nie przyjmują święceń kapłańskich i żyją we wspólnocie jako tzw. bracia współpracownicy. Formacja podstawowa to jednak tylko początek, bo każdy dominikanin zobowiązany jest do uczenia się przez całe życie, aby nieustannie zgłębiając Prawdę, móc dzielić się nią z innymi.

Więcej informacji o dominikanach można znaleźć na stronie internetowej zakon.dominikanie.pl.

GORZKA WÓDKA - NIE CHCIELI JEJ SŁODZIĆ

Tekst

Ewelina Dmitrowicz

Duszpasterstwo Akademickie „W Sercu” u chrystusowców

Styczeń i początek lutego w kinach był Smarzowskiego. Choć nie jest tajemnicą, że estetyka, jaką wybiera reżyser *Domu złego* nie należy do miłej dla oka, do kin ściągnęło mnóstwo widzów. Polska Agencja Prasowa informuje, że już w premierowy weekend najnowszy film zobaczyło ponad 250 tys. osób. Tym razem Smarzowski podjął się wyzwania, jakim było zekranizowanie uhonorowanej Nagrodą Literacką Nike powieści Jerzego Pilcha *Pod mocnym aniołem*. Temat nieobcy chyba nikomu w tym kraju - alkoholizm. Czy ktoś nie słyszał o polskiej wódeczce?

Ale co, ze mną się nie napijesz? No to jeszcze po maluchu. Hi, hi. A teraz idziemy na jednego... Czymże by było wesele bez niego? Czy ktoś nie wie, że jak „taka” okazja, „taka” nowina, to trzeba się napić?

Taka kultura, tradycja, przez co i społeczne przyzwolenie oraz powszechna dostępność. Bo i biznes dobry. Rzeczy oczywiste.

A czy ktoś nie słyszał, że ktoś zabił po pijaku, albo że ktoś przepił wszystko, zostawił dom i rodzinę, albo że zadławił się swoimi wymiocinami?

Ble, zaczyna się robić nieprzyjemnie. A co dopiero, gdy dorzucimy do tego inne śmierdzące substancje fizjologiczne i brutalne, niemające nic wspólnego z miłością kopulacyjną? Film *Pod mocnym aniołem* jest bardzo „smarzowski”, ale jest prawdziwy. Prócz fizycznych, nieuniknionych obrzydliwości, obraz ten bardzo dobrze oddaje wewnętrzną przegraną człowieka, próby walki ze sobą i autosugestie. Nielinearny czas akcji da się odczytać nie tylko jako udaną ilustrację życia alkoholika w ciągu, lecz również jako wspomnienia upadków we wszelki nałóg – taki czy inny, mniejszy lub większy. Czas i miejsce nieistotne, pamiętamy, że coś poszło nie tak, coś było silniejsze. Pytamy: dlaczego?

Pomysł Pilcha, a za nim - Smarzowskiego, to też wpisane w cały dramat pytanie o miłość, czy wręcz o zbawcze oddziaływanie miłości. Czy można pokonać siebie z miłości do drugiej osoby? Czy można pokonać nałóg, bo jest się kochanym? Obaj artyści nie udzielają odpowiedzi, wskazują jednak na obecność nadziei.

„...terapeucice pragną doprowadzić rzeczywistość do trzeźwości, ja pragnę doprowadzić rzeczywistość do literatury, w pewnym miejscu – nie ma siły – nasze drogi się rozchodzą”

– mówi Jerzy, alkoholik i pisarz, główny bohater książki. Być może Smarzowski doprowadził niektórych do trzeźwej refleksji, pokazując obrzydliwą i bolesną część rzeczywistości. Pilch doprowadził tę rzeczywistość do znakomitej językowo, wciągającej literatury. Czy ich drogi się rozeszły? Moim zdaniem tak. Dlatego polecam obie realizacje.

FUNDAMENT ŻYCIA

CZ.1 - CEL CZŁOWIEKA

Tekst

o. Grzegorz Ginter SJ

duszpasterz akademicki u szczecińskich jezuitów

Być może słyszeliśmy o małej książeczce, napisanej przez św. Ignacego z Loyoli, zwanej „ćwiczeniami duchowymi”. W niej znajduje się źródło duchowości ignacjańskiej, którą starają się żyć na co dzień jezuiti i wiele osób świeckich. Św. Ignacy pisał ćwiczenia na bazie własnego doświadczenia i przeżyć, jakie miał w Manresie (małej miejscowości niedaleko Barcelony w Hiszpanii). Pozwalał się wtedy Bogu prowadzić i kształtować. Jego życie się zmieniało – z człowieka oddanego marnościami tego świata (pogubionego, niepotrafiącego złapać sensu życia, szarpanego wieloma niepokojami i uczuciami), stał się szukającym Boga we wszystkich rzeczach. Wspomniane ćwiczenia są drogą, po której chce on prowadzić człowieka i pomóc mu w podobnym doświadczeniu Boga. Ta mała książeczka, która jest niczym innym, jak czterotygodniowymi rekolekcjami do odprawienia, rozpoczyna się od „Zasady pierwszej i podstawowej”, zwanej inaczej fundamentem ćwiczeń, a tak naprawdę powiedzielibyśmy – fundamentem życia. Pomaga ona bowiem ustawić naszą relację do Boga, do siebie samego i do innych stworzeń. Aby posmakować odrobinę duchowości ignacjańskiej, spróbujmy najpierw zmierzyć się z pierwszym zdaniem fundamentu, by spróbować odnaleźć w nim sens dla naszego życia. Św. Ignacy ujmuje to tak:

Człowiek jest stworzony, aby Boga, Pana naszego, chwalił, czcił i Jemu służył, a przez to zbawił duszę swoją. Inne zaś rzeczy na obliczu ziemi są stworzone dla człowieka i aby mu pomagały do osiągnięcia celu, dla którego jest on stworzony.

[ĆD 23]

Najpierw warto zwrócić uwagę na fakt, że Ignacy rozpoczyna od słowa „człowiek”, a nie np. Bóg. W pewien sposób stawia człowieka na pierwszym miejscu. Co chce nam przez to powiedzieć? Może to, że to sam Bóg stawia człowieka na pierwszym miejscu swojej troski i zainteresowania. Jesteśmy ulepieni przez Boga na Jego obraz – uczynieni z miłości i dla miłości i w pewien sposób jesteśmy dla Boga „oczkiem w głowie”. Grzech jest wtedy, kiedy człowiek **sam siebie** stawia w centrum uwagi. Tutaj jednak to Bóg stawia człowieka w centrum swojej uwagi. Kiedy Jezus uzdrawia człowieka z uschniętą ręką w synagodze (Łk 6,6-11), to mówi najpierw do niego: „Podnieś się i stań na środku!”. Jezus stawia go na środku, bo dla Boga każdy człowiek jest w centrum, a szczególnie człowiek słaby, grzeszny, chory i cierpiący. Pierwszą

prawdą fundamentu jest więc to, **że jesteś w centrum zainteresowania Pana Boga**, jesteś w centrum Jego serca, Jego troski, Jego miłości.

Ale za tym idzie druga prawda – „człowiek jest stworzony”. Każdy z nas musi uznać, że jest stworzony, tzn. że nie jest Bogiem. Wąż w raju wsączył w człowieka truciznę, kiedy skusił go słowami: „Będziecie jak Bóg”. Ale człowiek nie jest Bogiem. Potrzebuje uznać, że to nie on decyduje o wszystkim, a szczególnie o tym, co jest dobre, a co złe. Nie możemy przypisywać sobie prerogatyw Boga. Bardzo wyraźnym przykładem na to jest traktowanie ludzi bogatych przez Pismo Święte. Słowo Boże nie potępia samego bogactwa, ale ludzi, którzy w swoim bogactwie widzą swoją siłę (pieniądz, który załatwi wszystko, otwiera wszelkie drzwi, zabezpiecza przed wszelkim niebezpieczeństwem, za który można kupić wszystko i każdego). Taki człowiek, według Biblii, nie uznaje nad sobą Boga, bo pieniądz wszystko mu zabezpieczy. To pieniądz wtedy – sam w sobie dobry – staje się jego bogiem. Drugą zasadą fundamentu byłoby więc **uznanie, że jesteś stworzony, czyli zależny od Boga**, od Jego łaski i pomocy, od Jego miłości.

Zajmijmy się teraz kolejnymi słowami tego tekstu i spróbujmy rozważyć, co oznaczają słowa: chwalić, czcić i służyć Bogu.

Wiemy, w jaki sposób możemy wychwalać drugiego człowieka. Wystarczy z przejściem opowiadać o tym, co dobrego zrobił, jak wspaniale się zachował, co mądrego powiedział. Można powiedzieć, że chwalenie Boga polega na tym samym – na opowiadaniu wielkich rzeczy, jakie Bóg dla nas uczynił. Być może wydaje nam się to łatwe, ale musimy wziąć pod uwagę, że aby to robić, potrzebujemy otworzyć oczy na świat i rzeczywistość, w jakiej żyjemy, by to Boże działanie dostrzec. Nie jest to wcale takie proste. Bo czy łatwo zauważamy Pana Boga w naszych zwykłych, codziennych, zrutynizowanych czynnościach? Czy dostrzegamy Go w prostych gestach, szarych obowiązkach, zwykłych słowach życzliwości? Czy wierzymy w to, że On naprawdę tam jest? Aby Boga chwalić, potrzebujemy otwartych oczu i wrażliwego serca, wyczułonego na Jego obecność. Ta wrażliwość przyjdzie do nas z czasem, kiedy zaczniemy Mu dziękować za zwyczajną codzienność, która nas spotyka. Jest to szczególnie ważne, gdyż tak często w naszym życiu uważamy, że „coś nam się należy” i... przestajemy być wdzięczni, zarazem więc przestajemy chwalić Boga.

Jest jeszcze inny aspekt chwalenia Boga. Św. Ireneusz z Lyonu (zmarł ok. 202 roku) wypowiedział zdanie, w którym zawarł istotę chwalenia Boga: „Chwałą Boga jest człowiek żyjący” (Adv. Haer. IV, 20, 7). Co mogą oznaczać te słowa? Że Boga nie chwalimy tylko naszymi słowami, pochwałami czy wdzięcznością. Całe nasze życie – takim, jakie ono jest – jest chwaleniem Boga. Niezależnie

od tego, czy robimy wielkie rzeczy, czy drobne obowiązki – Bóg jest w tym uwielbiony. Tu nawet nie chodzi do końca o to, co robimy lub czego nie robimy. **Chwalimy Go tym, że w ogóle istniejemy!** Te słowa mogą być dla nas szokujące, bo jesteśmy przyzwyczajeni, że przecież „coś trzeba robić”. Owszem, nasze życie mamy wypełnić dobrem, miłością, żyć powołaniem – tego, do czego Pan nas stworzył i zaprosił. Ale przede wszystkim nasze życie – takim, jakie ono jest – jest chwałą Boga, gdyż jest przez Niego chciane i kochane.

Słowo „czcić” nie jest już takie jasne jak słowo „chwalić”. Być może czasem je nawet mylimy. Jeśli się chwilę zastanowimy, to słowo to występuje w czwartym przykazaniu Bożym, które katechizmowo brzmi: „Czcij ojca swego i matkę swoją”. Co w naszym kontekście może więc oznaczać czcić Boga? Możemy powiedzieć, że to uznanie Boga jako naszego Ojca. Z tym wiąże się zarówno świadomość bycia dzieckiem Bożym, jak również życie tym. Wcale nie jest to łatwe. Tak często zachowujemy się jak syn marnotrawny, który ucieka z domu, ucieka od Ojca, uważając, że gdzie indziej znajdzie szczęście. Czasem też zachowujemy się jak starszy syn z tej samej przypowieści, kiedy nie czujemy się córkami i synami, lecz służącymi: „oto tyle lat ci służyę...” (Łk 15, 29). Czcić Boga oznacza uznać, że jest naszym Ojcem i żyć najlepiej jak potrafimy tą łaską dzieciństwa, którą Bóg, nasz Ojciec, nas obdarza.

Ostatnie słowo to „służyć”. Na pewno mamy jakieś rozumienie tego, co oznacza służyć Bogu. Mamy swoją wizję takiej służby, czasem wręcz uważamy, że jeśli inni nie robią podobnie do nas, to źle służą Bogu (albo wcale). Kto jednak najdoskonalej służył Bogu? Prorok Izajasz pisał o cierpiącym Słudze Jahwe (słudze Boga), który w sposób najdoskonalszy oddał chwałę i cześć Bogu przez wydanie swojego życia za braci (Iz 52,13-53,12). Mowa oczywiście o Jezusie Chrystusie. To On, nasz Zbawiciel, jest tym, który najlepiej służył swojemu Ojcu. Możemy powiedzieć, że jeśli my chcemy służyć Bogu najlepiej jak potrafimy, to potrzebujemy ni mniej, ni więcej, tylko **iść po śladach Chrystusa**. Najlepsza służba Bogu to naśladowanie Chrystusa – wtedy stajemy się coraz bardziej podobni do Jezusa, a co za tym idzie, najlepiej służymy Bogu. O naśladowaniu Chrystusa już wiele napisano i na pewno warto do tych pozycji sięgnąć, by uczyć się Chrystusa i Jego sposobu życia i kochania. Ale przede wszystkim potrzebujemy sięgać do źródła, jakim jest Pismo Święte – Słowo samego Boga. W nim znajdziemy „przepis” na to, jak najlepiej chwalić, czcić i służyć Panu Bogu w naszej codzienności.

www.ginter.sj.deon.pl

ZAPRASZAMY NA
ŚWIATOWY DZIEŃ MODLITWY
7 MARCA 2014 (PIĄTEK)
GODZ. 18.00

WIRYDARZ PRZY KOŚCIELE ŚWIĘTEJ TRÓJCY
PARAFII EWANGELICKO-AUGSBURSKIEJ W SZCZECINIE
UL. ENERGETYKÓW 8
„STRUMIENIE NA PUSTYNI”

LITURGIA PRZYGOTOWANA PRZEZ KOBIETY Z EGIPTU, A PROWADZONA PRZEZ KOBIETY Z RÓŻNYCH KOŚCIOŁÓW
CHRZEŚCIJAŃSKICH!

ZAPRASZAMY WSZYSTKIE PANIE, KTÓRE CHCIAŁYBY WSPÓLPROWADZIĆ TE LITURGIE,
NA SPOTKANIE ORGANIZACYJNE W ŚRODĘ 5 MARCA NA GODZ. 16.30
DO SALI PARAFIALNEJ PRZY UL. ENERGETYKÓW 8.

Światowy Dzień Modlitwy Kobiet skupia wokół siebie chrześcijanki różnych wyznań. Jest to ruch ekumeniczny o 127-letniej tradycji. Wspólną modlitwę kobiet w intencji biednych, bezrobotnych, pokrzywdzonych na skutek wojny domowej w Ameryce Północnej i napływu biednych emigrantów z Europy i Azji zainicjowała w 1887 r. Mary Ellen James z Kościoła prezbiteriańskiego. Idea takich nabożeństw bardzo szybko zaczęła się rozprzestrzeniać.

W 1927 r. był już obchodzony Światowy Dzień Modlitwy Kobiet. Od tego czasu liturgia ŚDMK opracowywana jest kolejno przez chrześcijanki różnych krajów. Od 1968 r. Światowy Dzień Modlitwy Kobiet obchodzony jest na całym świecie w ponad 170 krajach w pierwszy piątek marca. W 1967 r. powołany został Komitet Międzynarodowy Światowego Dnia Modlitwy Kobiet. Co 4-5 lat Komitet Międzynarodowy urządza konferencje, na której delegatki poszczególnych Komitetów Krajowych wybierają tematy i autorki liturgii ŚDM na najbliższe 4 lata. Pomiędzy konferencjami za sprawy Światowego Dnia Modlitwy Kobiet odpowiedzialny jest Komitet Wykonawczy, z siedzibą w Nowym Jorku, składający się z przedstawicielek różnych regionów świata, reprezentujących trzy największe tradycje chrześcijańskie: **protestancką, prawosławną i rzymskokatolicką.**

W wyniku ostatnich badań nad historią ŚDM stwierdzono, że w Polsce pierwsze nabożeństwo ŚDMK odbyło się 4 marca 1927 roku w Kościele Baptyistycznym w Łodzi. Od 9 marca 1962 r. regularnie, co roku, odbywają

się w Polsce ekumeniczne nabożeństwa Światowego Dnia Modlitwy Kobiet i obejmują coraz szersze kręgi wyznawców różnych Kościołów w wielu miastach. Od 1992 roku w pracach przygotowawczych i nabożeństwach ŚDM bierze czynny udział Polski Związek Kobiet Katolickich, natomiast od roku 2000 Stowarzyszenie Pokoju i Pojednania „Effatha”, a od roku 2001 Kościół greckokatolicki.

Od wielu lat w parafii ewangelicko-augsburskiej w Szczecinie odbywają się ekumeniczne nabożeństwa z okazji Światowego Dnia Modlitwy. Od kilku lat widoczne jest coraz większe zainteresowanie tą inicjatywą. Nazwa tego nabożeństwa uległa zmianie ze Światowego Dnia Modlitwy Kobiet na Światowy Dzień Modlitwy, aby podkreślić, że liturgię prowadzą kobiety, ale do modlitwy zaproszeni są wszyscy, niezależnie od płci. Cieszymy się, że coraz więcej kobiet różnych wyznań decyduje się nie tylko na uczestnictwo, ale także na współudział w prowadzeniu liturgii tego nabożeństwa. W ten sposób od kilku lat zaangażowane są panie z Kościołów: rzymskokatolickiego, polskokatolickiego, zielonoświątkowego, baptystycznego, metodystycznego oraz ewangelicko-augsburskiego. Bardzo dziękujemy za tę służbę i pragniemy bardzo serdecznie zaprosić do uczestnictwa w tegorocznym nabożeństwie!



Proszę
zeskanować kod
QR

Weź udział w nowej zabawie audycji „Religia na fali”. Zagłosuj w Chrześcijańskiej (pamiętajcie chrześcijańskiej, a więc nie tylko katolickiej) Liście Przebojów. Szczegóły na radioszczecin.pl/religia. Co z tygodnie losowanie nagród!

Zapraszam do słuchania audycji katolickiej „Religia na Fali” w Polskim Radiu Szczecin w każdą niedzielę o godzinie 6:00. Od stycznia 2013 roku audycja o godzinie 6 rano. (częstotliwość 92 MHz). W audycji m.in. o wydarzeniach z życia Kościoła, dialogu ekumenicznym w Szczecinie, młodzieżowych wspólnotach, a także rozmowy: z duszpasterzami akademickimi (chrystusowcem ks. Zbigniewem Reguckim, jezuitą o. Grzegorzem Ginterem, dominikaninem o. Przemysławem Dymowskim), a także dominikaninem o. Maciejem Biskupem i ks. dr. Krzysztofem Łuszczkiem (Wydział Teologiczny Uniwersytetu Szczecińskiego). Można też wygrać nagrody książkowe. Wideorelacje, galerie zdjęć, zarchiwizowane audycje i informacje oraz archiwalne numery „Prosto z Mostu Młodzi...Ekumeniczni...Bóg...” na www.radioszczecin.pl/religia.

Szukaj nas na Facebooku: <http://www.facebook.com/religianafali>

Piotr Kołodziejcki, Zapraszam!



audycja
katolicka

zdjęcia
wideo

NIEDZIELA
6:00
informacje

**RELIGIA
NA FALI**

www.radioszczecin.pl/religia

RYMCERZE JAK Z BAJKI

Tekst

Anna Malec

Radio Warszawa

Jest ich dwóch – Jonatan, syn pastora Kościoła Chrześcijan Baptystów, i Łukasz, katolik, mąż i ojciec. Raperzy z krwi i kości. Choć jeśli o nich chodzi, bardziej odpowiednimi wydają się słowa – z Krwi i Ciała – Chrystusa.

DJ Yonas i Bęsiu, czyli RYMcerze, postawili wszystko na jedną kartę. Yonas wrócił z Londynu, Bęsiu przeprowadził się do Warszawy, tylko po to, żeby rzucić wszystko i głosić Ewangelię. Baptysta i katolik razem? – Nie patrzymy na to, co nas dzieli, ważne jest to, co nas łączy, a łączy nas Jezus – mówi Bęsiu.

Rapują od kilku lat, mają już na swoim koncie kilka płyt. Mówili o Bogu w więzieniach, poprawczakach, aresztach. Teraz czas na szkoły. – Widzimy, że Bóg to prowadzi. Przemienił nas i teraz nie możemy o tym nie mówić – dzieli się Bęsiu.

Od października ich przesłanie usłyszało już ponad kilkanaście tysięcy uczniów z warszawskich gimnazjów i liceów. Raperzy kalendarz spotkań w szkołach mają wypełniony po brzegi. Do czerwca działają na Mazowszu. Wszystko w ramach pilotażowego programu profilaktycznego „Nie zmarnuj swojego życia”.

Program składa się z dwóch części. Bęsiu i DJ Yonas na początku dzielą się z młodzieżą swoim doświadczeniem i przestrzegają przed uzależnieniami. Druga część to koncert hiphopowy.

– Młodzi są poruszeni tym, że nie jesteśmy księżmi, że jako młodzi ludzie chcemy działać, mówić o Bogu i że się tego nie wstydzimy. My jesteśmy dla nich świadectwem tego, że można wierzyć Bogu i się tego nie wstydzić. Widzą, że nasze życie zostało odmienione i też tak chcą! – mówi Bęsiu.

DJ Yonas podkreśla, że cel spotkań to zanieśenie Dobrej Nowiny do szkół. – Chcemy iść do tych dzieciaków, które często nie widzą wyjścia z trudnych sytuacji, nie wiedzą, gdzie szukać rozwiązań, i zanieść im to, co Bóg nam dał. Chcemy powiedzieć, jakie jest rozwiązanie! My już byliśmy w takich klimatach – narkotykowych czy alkoholowych – mówi DJ Yonas.

RYMcerze chcą być dla młodych świadectwem. – Nie musicie się popisywać przed ludźmi – mówią uczniom. – Nie musicie się wstydzić Boga, tego kim jesteście, jakie macie marzenia. My daliśmy radę dzięki Bogu i wy też dzięki Bogu możecie dać radę – przekonują.

Bęsiu i DJ Yonas proponują młodym, żeby poszukali w swoich kościołach wspólnot, żeby zobaczyli, że ich życie może być piękne i wartościowe. Zachęcają do odkrywania swoich talentów i rozwijania ich. – Inspirujemy ludzi do działania. Dostawaliśmy listy, w których młodzież pisała, że zaczęła rapować, malować, śpiewać – mówi Bęsiu. I o to im chodzi. Modlą się o to, żeby ludzie poznali Jezusa i zaczęli żyć pełnią życia.

Chłopaki wiedzą o czym mówią. Bęsiu nawrócił się osiem lat temu w Medjugorje. Mama zabrała go na Festiwal Młodych. Pił, brał narkotyki, nie miał planu na swoje życie. – Powiedziałem wtedy Bogu, że jeśli istnieje, to niech mi to udowodni. I udowodnił – wspomina. Po godzinnej spowiedzi wiedział, że to jest to, że jest szczęśliwy, czuje pokój i radość. Dzisiaj jest wolny od narkotyków, alkoholu, ma żonę i dwójkę dzieci. I przede wszystkim – jest szczęśliwy.

Jonatan pochodzi z wierzącej rodziny, ale jak mówi, nikt wierzącym się nie rodzi. – Ten owoc wiary dojrzywał we mnie kilka lat. Zacząłem budować duchową więź z Bogiem i dzisiaj jestem pewien, że RYMcerze to Jego pomysł.



Fot. Archiwum Rymcerzy



Fot. Archiwum Rymcerzy

Bóg nasz szlifował. Widzieliśmy, jak wyciąga ludzi z bagna – mówi. Niemal codziennie spotykają się z uczniami, by mówić im o Bogu i przestrzegać przed narkotykami, alkoholem i innymi uzależnieniami. Spotkania w szkołach są w pełni darmowe. Program „Nie zmarnuj swojego życia” będzie trwał przez cały bieżący rok szkolny. Każdego miesiąca przesłanie RYMcerzy słyszy nawet kilka tysięcy uczniów.

Był czas, kiedy myślałam, że „nasz Jezus”, ten z Kościoła katolickiego, jest prawdziwszy, pełniejszy. W innych Kościołach może też jest, ale u nas to jest najbardziej... Jonatan i Łukasz dali mi niezłą lekcję ekumenizmu w praktyce. Podczas gdy na szczytach trwa dyskusja o dogmatach i historycznych sporach, oni zakasali rękawy i ręką w rękę poszli w świat, żeby jednym głosem mówić: Jezus żyje, doświadczyliśmy tego, ty też możesz! Kiedy ich poznałam, pytanie św. Pawła „czyż Chrystus jest podzielony?” stało się retoryczne.